

WILKI

w Gnieźnie i w Trzemesznie.

Fraszka sceniczna w jednym akcie,

napisana przez

Józefa Chociszewskiego.

Dodany dyalog:

„Mędrsze jaje niż kura.“



Cena 75 fen. (1 korona).

2308

GNIEZNO 1911.

Nakładem J. Chociszewskiego.

Czcionkami drukarni „Labor“ we Wrześni.

Cennik wydawnictw teatralnych J. Chociszewskiego w Gnieźnie.

Własnego układu, tj. ułożone przez J. Chociszewskiego.

1. **Nadzieja.** Zbiór dramacików, monologów, dyalogów i wierszy, popierających cel Wyzwolenia, Eleuteryi, Jutrzenki, oraz podobnych, Towarzystw, 192 strony i **25 sztuk teatralnych.** Wymieniamy choć niektóre sztuki: Chałupka z pierników, karmelków i czekolady. Igra czarodziejska dla grzecznych i niegrzecznych dzieci, aby spełniały czwarte Boże przykazanie (4 męskie i 3 żeńskie role). Piekielna zabawa (3 męskie role). Kto grywa w karty, ten ma łeb obdarty (5 mężczyzn i 2 kobiety). Niedobrze być kosterą. Ustęp z dziejów Polski za Kazimierza Sprawiedliwego (4 męskie role). Podróż na drugi świat (5 mężczyzn 1 kobieta rola). Bardzo wesola i pouczająca sztuka. Złoty chleb. (Osoby: Anioł i robotnik). Wspomnienie pielgrzymki do Częstochowy (2 mężczyzn). Rabin zwyciężony przez kwestarza (4 męskie role). Mosiek wyrzeka się spółki z Walkiem (4 męskie role). Mosiek na majówce (2 męskie role). Zabawa w karczmie podczas nabożeństwa (7 mężczyzn 1 kobieta). **Gorzałka.** Obraz dramatyczny przez Anczyca. Na ten Wechsel płacę (4 mężczyzn 1 kobieta). „Nadzieja“ zawiera przeważnie łatwe igry, które można przedstawiać w amatorskich i domowych teatrach. Prawie wszystkie zwrócone przeciw pijaństwu i karciarstwu.

Cena 1,50 mk., z oprawą 1,80 mk., na przesyłkę franko dołącza się 10 fen.

2. **Pałka Madeja.** Widowisko fantastyczno-alegoryczne ze śpiewami i tańcami w pięciu odsłonach. Na tle starożytnych podań ludowych opracował J. Chociszewski.

3. **Genowefa.** Obraz dramatyczno-ludowy w 6-ciu odsłonach, opracował J. Chociszewski. Z kilku pieśniami Seweryny Duchińskiej.

4. **Koszyk kwiatów.** Obraz dramatyczny ludowy w pięciu odsłonach ze śpiewami i tańcami, przez J. Chociszewskiego.

Cena trzech tych utworów, tj. Pałki Madeja, Genowefy i Koszyka kwiatów wynosi po 1,70 mk. (2 korony) z oprawą 2 mk., wszystkie trzy razem 5 mk. (6 koron). Wolno grać te sztuki tylko za pozwoleniem autora. Kto gra bez pozwolenia, naraża się na karę do 6000 mk. lub pół roku więzienia.

(Ciąg dalszy na 3-ciej stronie okładki.)



Wilki w Gnieźnie i w Trzemesznie.

Fraszka sceniczna w jednym akcie, napisana przez
Józefa Chociszewskiego.

OSOBY:

Wojciech Kłosowski, obywatel
gnieźnieński.
Jolanta, jego córka.
Tekla, stryjeczna siostra Kło-
sowskiego.
Szymon Michalski, dawny pol-
ski żołnierz.

Mieczysław Jaxa, czeladnik
garncarski.
Baltazar Galantowicz, właściciel
winiarni.
Walek Zakrzewiak.
Kaśka, służąca u Kłosowskiego.

Rzecz dzieje się 1502 r. w Gnieźnie w mieszkaniu Kłosowskiego.

SCENA I.

Kaśka (kończąc zamiatanie.) Bogu dzięki, ukończyłam uprzątanie. Od samego rana tyle roboty po uszy, że nie ma człowiek chwili wolnego czasu. Będzie zapewne dziś u nas wielka wyzerka, czyli uczta wspaniała, jak mówi pan Kłosowski i panna Tekla. Szkoda, bo chciałam dziś iść na Winiary do ciotki Nowaczki. Możliwym się spotkała tam z Frąckiem, który służy na Piekarach. Frącek chłop niczego. Łazi za mną Walek Zakrzewiak, ale cóż mi z tego, kiedy to niemłode chłopisko, leniwe i jakoś niesamowite. Jemu braknie tu *(puka się w czoło)* piątej klepki, a może i czwartej. *(Idzie do okna)*. O wilku mowa, a wilk idzie. Wilk... brr, aż mi się skóra otrząsa. Podobno strasznie wiele wilków kręci się około Gniezna. Czego chce ów nie-

SCENA II.

Kasia, Zakrzewiak.

Zakrzewiak. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Kaśka. Na wieki wieków. Amen. Czy tu kogo szukacie?

Zakrzewiak. Dopraszam się łaski panny Kaśki, czy na ten przykład nie ma w domu pana Kłosowskiego? Mam do niego orędzie od pana Galantowicza, co to ma winiarnię przy Tumskiej ulicy.

Kaśka. Mówcie, co za orędzie, a ja powiem mojemu panu.

Zakrzewiak (obracając czapkę na wszystkie strony). Bo to widzi panna Kaśka, tak niby na przykład — tu nie chodzi o samego pana Galantowicza, chociaż to dobry pan, bo co prawda... tak na ten przykład, poczęstuje czasem człowieka kieliszkiem przepalanki a nawet i winem.

Kaśka. Oj to, to — Zakrzewiak chętnie pije wino, miód i wódkę.

Zakrzewiak. Tak na ten przykład, któż nie pije? Przecież powiadają, że na frasunek dobry trunek.

Kaśka. Zakrzewiak mi czas zabiera, a tu roboty co niemiara. Mówcie prędko, bo muszę iść do kuchni.

Zakrzewiak. Dopraszam się łaski panny Kaśki, a zaraz skończę. Otóż pan Galantowicz powiedział dziś do mnie: „Mój Zakrzewiaku, wielki czas, abyśmy się ożenili,” a ja na to: „Widzę to sam dokumentnie, że bez żony ciężkie życie, bo to już Adam w raju...”

Kaśka. Co tam Zakrzewiak sięga do raju. Mówcie prędko, jakżeż z tem orędziem?

Zakrzewiak. Zaraz, zaraz. Tak na ten przykład, ja sobie myślę, gdzieby to uderzyć. Aż tu przychodzi mi na myśl panna Kaśka...

Kaśka. Temu człowiekowi braknie w rzeczy samej klepek w głowie.

Zakrzewiak. Tak na ten przykład, jabym niby chciał prosić, to jest, żeby panna Kaśka chciała, tobym

Kaśka. A to dopiero chłop niedołęga, plecie trzy po trzy, nie przymierzając, jak baba z Gądek.

Zakrzewiak. To jest, tak niby na ten przykład, jabym się chciał ożenić, a więc potrzeba mi dziewczuchy na żonę, gdyż chłop z chłopem ślubu nie dostanie, więc ja rzuciłem oko na pannę Kaśkę, bo jestem zakochany.

Kaśka. Najlepiej się odkochać!

Zakrzewiak. Jestem zakochany, niby na ten przykład w pannie Kaśce i dlatego chciałbym się ożenić z panną Kaśką i dlatego daję ten pierścionek (*wyciąga z kieszeni pierścionek*), jako na ten przykład, że moje chęci są szczerze i że pannę Kaśkę kocham i poważam.

Kaśka (odbierając pierścionek). Pierścionek ładny, chociaż trochę zepsuty.

Zakrzewiak. Ten pierścionek, tak na ten przykład, dał mi pan Galantowicz, bo on kupił inny od pana Galczewskiego, a że to darowanemu koniowi w zęby nie zagładają...

Kaśka. Tak też Zakrzewiak nie spojrzał w zęby pierścionkowi.

Zakrzewiak. A nie spojrzałem, bo na ten przykład, pierścionek zębów nie ma. A teraz się pytam, czy mnie panna Kaśka weźmie za męża, czy nie?

Kaśka. Toć co prawda mam już latka Chrystusowe, to też gdyby mi się trafił chłop porządny, poszłabym za niego. Ale chłop musi żonę używić, a Zakrzewiak nygus, włóczy się z kąta w kąt, chodzi po wsiach i w mieście nic nie robiący, zagłada też za wiele do szynków, zatem nie powinien się żenić.

Zakrzewiak. Jak to nic nie robiący? Co też to panna Kaśka wygaduje? A kto dzwoni w wielki dzwon Wojciecha Bogu na chwałę, a mieszkańcom miasta Gniezna na pociechę?

Kaśka. Dzwonienie chleba nie da — zresztą bodaj co cztery niedziele dzwonią w Wojciecha.

Zakrzewiak. A potem trudnię się też krawiectwem, to nieraz się grosz zarobi.

Kaśka. Co mi tam za krawiectwo. Sukmany Zakrzewiak nie uszyje tylko czasem coś wyporządzi

Zakrzewiak. Łapię też na ten przykład zające w sidła, łowię ryby na wędkę w jeziorze Bielidle, posłużę czasem panu Galantowiczowi i innym obywatelom, a mianowicie przewielebnym księżom kanonikom, czyszczę szable i inną broń panu Michalskiemu, pilnuję też sądów...

Kaśka. Dziesięć rzemiosł, a jednasta bieda.

Zakrzewiak. Proszę też nie zapomnieć, że w moich żyłach płynie krew szlachecka, bo moi przodkowie zwali się Zakrzewskimi i posiadali wieś Zakrzewo pod Kłęckiem, zatem na ten przykład honor wielki dla chłopianki, którą wezmę za żonę.

Kaśka. Chłopianka, chłopianka! A Zakrzewiak to niby nie chłop. Szlachectwem kapusty nie okrasisz. A zresztą i w moich żyłach płynie krew szlachecka.

Zakrzewiak. Pierwsze o tem słyszę.

Kaśka. Przecież nasz rodzic Adam i Ewa byli szlachtą, chociaż Adam orał ziemię, Ewa zaś przędła kądziel, a ja pochodzę od Adama i Ewy.

Zakrzewiak. Niechże i tak będzie. Pokornie upraszam drugi raz tak na ten przykład, o odpowiedź, czy panna Kaśka chce być moją żoną, czy nie?

Kaśka (mierząc go od stóp do głowy). Zdaje mi się, że zasłużyłam sobie na innego chłopca, mimo to gotowam ślubować pod warunkiem, że Zakrzewiak wilka zabije. A teraz zostajcie z Bogiem, gdyż trzeba iść do kuchni. Idźcie z waszem orędziem tam do izby na prawo. *(Odchodzi.)*

Zakrzewiak. Mam wilka zabić. W łapkę możebym schwycił bestyą, ale zabić pałą lub halabardą będzie trudno. A jednak tak kocham szelmę Kaśkę, że gotowem się odważyć na wilka. Zaśpiewam sobie piosnkę o wilku:

Wejrzyj za okienko, jak tam wilczek skacze,
Pewnie jeszcze nie ma żony, to się nie kłopoce.
Wilczysko się ożeniło, uszyska opuściło,
Au, au, co mi potem było.

SCENA III.

Tekla.

Tekla. A gdzie też ta niegodna Kaśka wysiaduje?

z Jolanty nie ma wielkiej pomocy, a Kaśka zdatna jeno do grubej roboty. Nie wiem, jakie znaczenie ma dzisiejsza biesiada. Pan Wojciech coś knuje. Albo gotów sam się ożenić, albo wydać Jolusię za mąż. Tak prawdę powiedziawszy, powinien pan Wojciech najprzód dla mnie postarać się o małżonka. Najwięcej podoba mi się Baltazar Galantowicz, chociaż już ma szpakowate włosy i trochę jest łysy, ale to nic nie szkodzi, bo do mego wieku stósowny, wszakże mówią, że lepiej za starego cesarza, aniżeli za młodego pisarza. Tylko że ten niepoczciwy Baltazar zerka czule na Jolantę, ale nie dla psa kiełbasa, a dla kota sadło. Nie dostaniesz, Baltazarku, Jolanty, co nie, to nie. (*Wchodzi Kłosowski.*)

SCENA IV.

Tekla, Kłosowski.

Kłosowski. Czy już wszystko należycie przygotowane na dzisiejszą wieczerzę? Proszę niczego nie żałować, bo taka uczta tylko raz lub dwa razy w życiu się zdarza.

Tekla. Wszystko w porządku, panie bracie. Pączki już upieczone, a takie pulchne i rumiane, że się serce do nich śmieje. Chróściki smaży Jolanta, skończy wkrótce pieczenie, udały się świetnie, co nie nowina u Jolusi, gdyż pojętna z niej dziewczyna i uważająca na moje rady. Zawijane zrazy znakomite, oj, będą dobrze smakowały z kaszą i kapustą. A jakże z napitkiem?

Kłosowski. To już mój kłopot. Będzie piwo, miód, a w końcu znajdzie się opleśniały gąsiorek węgrzyna, a może i więcej.

Tekla. Co pan brat mówi? Toć węgrzyn zjawia się u nas tylko na bardzo wielkie święto.

Kłosowski. Zanosi się na wielkie święto, bo dziś mają się odbyć zaręczyny Jolanty. Prawda, że jeszcze z nią o tem nie mówiłem, aleć myślę, że Jolanta, jako dobra córka, będzie posłuszną.

Tekla. Chryste Jezu! Co ja słyszę... zaręczyny — o z kim? — jeżeli wolno się zapytać?

Kłosowski. Trochę cierpliwości, a dowie się wacpanna swego czasu.

Tekla. Panie bracie, już od dziesięciu lat prowadzę tu gospodarstwo, a nie chwaląc się, jest wszystko w porządku. Wychowałam Jolantę, to też sądziłam, że pan brat poprzednio mnie się poradzi, boć ja zastępuję Jolusi matkę.

Kłosowski. Powiadają, że u kobiet długie włosy, a krótki rozum, to też z obawy, aby mi aśćka nie popsuka całej sprawy, wolalem zamilczeć. Mam ja swoje wyrachowanie — ot co jest.

Tekla. Ot co jest — albo też: nie co jest. Mam ja też swoje wyrachowanie. Zapowiadam, jeżeli bez mego zezwolenia odbędzie się ślub Jolanty, wtedy kwita z przyjaciąni, dom brata opuszczę, a 3000 złotych, które pożyczyłam, trzeba wkrótce oddać. Za twoje myto, kijem cię obito. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. Teraz pan brat wie moje zamiary.

Kłosowski. Aśćka w gorącej wodzie kąpana, to jeszcze wszystko się może ułożyć.

Tekla. Nie mam czasu na gawędy. Trzeba iść do kuchni, bo tam jeszcze wiele roboty, a na Kaśkę nie można się w niczem spuścić. *(Odchodzi.)*

SCENA V.

Kłosowski. A to dopiero Heród-baba. Nie spodziewałem się wcale, że taka rezolutna. Nawarzyłem sobie piwa, nawarzyłem, trudno będzie to piwo wypić. Po pijanemu przyrzekłem Galantowiczowi Jolantę, bo zdawało mi się, że dziewczyna nie będzie od tego, a zresztą wiadoma rzecz, że jak człowiek pijany, wszystkiego dobrze nie rozważy. A potem co najgorsza, że Galantowicz pożyczył mi 200 złotych, to też mu się przyrzekło, bo pieniądze były potrzebne. Jolancie pewnie zawrócił głowę Mieczysław Jaxa, przystojny co prawda chłopak ale hołysz, czeladnik garncarski. Dziewczyna gotowa robić fochy, a ciotka Tekla będzie jej pomagała. U Galantowicza dobry miód i wino, gra się też u niego w kości, a towarzystwo zawsze wesole. Jak nie dostanie

Jolanty, wszystko przepadnie. Jest to sęk, a w tym sęku dziura, co się zowie. Co ja pocznę biedny człowiek? Nie ma czasu do wyrzekania, trzeba zobaczyć, czy Kaśka poustawiała dobrze butelki i kamienne naczynia z miodem, winem i piwem. (*Odchodzi.*)

SCENA VI.

Jolanta. Dziś u nas zapustna zabawa, ale dla mnie smutna, bo nie będzie Mieczysława Jaxy, mego kochanego Mieczusia. Ojciec pragnie, abym wyszła za mąż za Galantowicza, bo ma dukaty. Galantowicz stary, niech więc szuka starej. Że też to prawie zawsze starzy smalą cholewki do młodych dziewcząt. Czemu Galantowicz nie uderzy do ciotki, tam zwycięstwo pewne, a przecież ciocia jest w sile wieku, przytem zawołana gospodyni i przystojna. Ojcu pożyczyła 3000 złotych, a i w skrzynce posiada nietylko talary, ale nawet czerwienie. Przeczuwam, że dziś się mają odbyć moje zaręczyny z Galantowiczem. Że się na coś ważnego zanosi, o tem świadczą dwa opleśniałe gąsiory węgrzyna, które ojciec kazał przynieść z piwnicy. Niech sobie piją, ale od zaręczyn ze mną wara staremu Baltazarowi. Wolę się utopić w Bielidle, aniżeli wyjść za Galantowicza. Za Jaxę wyszłabym zaraz, bo też to chłopiec przystojny, zdrowy, wesoly, a zuch taki. że każdy mu z drogi ustępuje. Boże, Boże, zmiłuj się nad nami! Poproszę księdza Jacka, aby na naszą intencją odprawił mszę świętą w kościele Świętego Krzyża przed cudownym Krucyfiksem (*wchodzi Mieczysław*).

SCENA VII.

Jolanta, Mieczysław.

Mieczysław. Witam kochaną pannę Jolantę (*całuje ją w rękę*).

Jolanta. Ach, jak się przestraszyłam! Witam pana Mieczysława.

Mieczysław. Pana?...

Jolanta. Witam kochanego pana Mieczysława.

Mieczysław. To mi się podoba

Jolanta. Dzię cią, bo każdej chwili może nadejść ojciec.

Mieczysław. Próżna obawa, powiedziała mi Kasia, że ojciec ustawia butelki z napojami, a to dlań bardzo mile zatrudnienie; ciotka Tekla w kuchni, zatem możemy kilka chwil spędzić swobodnie. Najdroższa Jolanto, czy nie zaszła zmiana na lepsze?

Jolanta. Chyba na gorsze. Ojciec pragnie, abym poszła za mąż za Baltazara Galantowicza.

Mieczysław. Za tego dziada starego jak grzyb! Ręce i nogi mu połamię, jeżeli śmie mi zabrać najdroższą Jolantę.

Jolanta. Mieczusiu kochany, nie tak głośno, bo może być awantura.

Mieczysław. Krew mi bije do głowy, a serce wali jak młot, uderzający o kowadło. O Jolanto najmilsza, jedyna pociecho mojego życia, czyż podobna, abym cię miał utracić? Tego ciosu nie przeżyję.

Jolanta. Nie rozpaczaj, drogi Mieczysławie, bo to się na nic nie przyda. Bądź przekonanym, że ci sprzyjam z duszy i z serca całego, kocham cię nad życie, a przysięgam, że nikt inny mężem moim nie będzie, chyba mój Mieczysław. O Galantowiczu nie śni mi się nawet; ten kutwa myśli, że można kupić żonę za dukaty. Moje serce nie jest do nabycia za złoto i drogie kamienie.

Mieczysław. Bóg ci zapłać, aniołku kochany, za słowa pociechy. Jestem gotów za ciebie przelać ostatnią krwi kroplę, aby złożyć dowód, jak cię mocno kocham (*całuje Jolantę w rękę*).

Jolanta. Tego nie pragnę, bo ja chcę, abyś żył dla mnie, a ja dla ciebie. Ale trzeba się rozstać, bo każdej chwili może tu przyjść ojciec lub kto inny.

Mieczysław. Zaraz odejdę. Schronię się tymczasem do starego Andrzeja w podwórku, ale niedługo przyjdę, bo mam pozdrowienie do ojca z Trzemeszna. Żegnam cię, najdroższa Jolanto!

Jolanta. Idź z Bogiem, kochany Mieczusiu i nie trać nadziei, bo mam przecucie, że wszystko się dobrze

Mieczysław (odchodzi). Do widzenia!

Jolanta. Bogu dzięki, że go nikt nie widział. Ach, jak ja serdecznie kocham mojego kochanego Mieczusia. I jabym miała iść za starego Galantowicza? Nie, nigdy, wstąpię raczej do zakonu Klarysek, chociaż nie czuję powołania do klasztoru.

SCENA VIII.

Tekla, Jolanta.

Tekla. Czy kto z tobą rozmawiał, kochana Jolusiu?

Jolanta. Nikt — sama do siebie mówiłam, bo mi tak ciężko na sercu, że muszę ją żalść wypowiedzieć, chociaż nikt nie słyszy.

Tekla. A co ci dolega, moje kochanie?

Jolanta. Niby ciocia nie wie. Wszakżeż ojciec chce mnie wydać za starego Galantowicza.

Tekla. Bądź spokojna, na to nigdy nie pozwolę. Powiedziałam dziś twemu ojcu, że gdybyś miała ślub zawrzeć z Galantowiczem, wtedy nietylko dom wasz opuszczę, ale zażadam także zwrotu 3000 złotych, które ojcu pożyczyłam.

Jolanta. To nie koniec — ja kocham Mieczysława Jaxę, a ojciec nie chce pozwolić na nasze małżeństwo.

Tekla. W tej sprawie nie będę ci mogła wiele pomódz. Gdyby Jaxa był przynajmniej majstrem.

Jolanta. O ja nieszczęśliwa!

Tekla. Jesteście obydwójcie młodzi, możecie poczekać, a tymczasem zmieni się niejedno. I serce ojca zmięknie, skoro zobaczy waszą stałość.

Jolanta (całuje Teklę w rękę). Bóg zapłać cioci kochanej za słowa pociechy. Tęskniące i nieszczęśliwe serce potrzebuje koniecznie współczucia.

Tekla. Wystaw sobie, Jolantuchno, jaki dziwny sen miałam w nocy. Oto jakieś okropne potwory, do wilków podobne, ale daleko większe i okropniejsze, napadły mnie i ciebie w lesie. Już, już, miały nas zagryźć, ale wtem rycerz na koniu nadbiegł z pomocą, pozabijał

Jolanta. Sen mara — Bóg wiara. Jakżeż mógł nas ów rycerz obiedwie posadzić na konia?

Tekla. Sny mają swoje znaczenie, co zresztą potwierdza Pismo święte. Niejeden sen mi się spełnił. Idź, kochana Jolusiu, do kuchni i zobacz do pieczeni, aby się czasem nie przypaliła.

Jolanta. Dobrze, ciociu kochana, już idę (*całuje Teklę w rękę i odchodzi*).

Tekla. Wysłałam ją umyślnie, bo widzę zdaleka, że kroczy pan Baltazar. A nużby się oświadczył, a w takim razie nie jest potrzebną Jolanta (*wchodzi Galantowicz*).

SCENA IX.

Tekla, Galantowicz.

Galantowicz. Dobry wieczór, pani dobrodziejce. Całuję rączki, ściele się do stóp łaskawej pani (*całuje Teklę w rękę*).

Tekla. Witam pana sąsiada. Dobrze, że wcześniej pan Galantowicz przychodzi. Znać zaraz galanta.

Galantowicz. Jakoś nazwisko zmusza niejako do galanterii, chociaż przyznam się, że wczesne przyjście nie dowodzi galanterii.

Tekla. Mniejsza już o to. Dobrze, że pana spotykam bez świadków, bo mam prośbę do szanownego pana sąsiada.

Galantowicz. Słucham. Będzie mi bardzo przyjemnie spełnić życzenie czcigodnej pani.

Tekla. Otóż sprawa jest taka. Zbieram od dawna dukaty. I trzebaż nieszczęścia, że nie posiadam dukatów Władysława Łokietka i Kazimierza Wielkiego. Pan w winiarni dostaje nieraz do ręki dukaty. Otóż śmiem prosić, aby wymienić mi takowe na inne

Galantowicz. Owszem, owszem. Zdaje mi się nawet, że w moim zbiorze znajdują się te dwa dukaty, a chociaż przyznam się, nie lubię się rozstawać z takimi dobrymi towarzyszami, prawie powiedziałbym przyjaciółmi, jednakże dla panny Tekli uczynię chętnie wyjątek.

Galantowicz. A co porabia pan Kłosowski?
Tekla. Siedzi w swym pokoju z panem Szymonem Michalskim, dawnym wojakiem. Suszą już drugą butelczynę miodu.

Galantowicz (na stronie). Ktoby się spodziewał, że Tekla posiada dukaty. Gdyby się tak dowiedzieć, ile ich ma. Może spory mieszek. (*Głośno.*) U państwa dobry miódek, bo to panna Tekla słynie z dobrej kuchni i z sycenia znakomitego miodu.

Tekla (na stronie). A to pochlebca, czyby myślał o mnie? (*Głośno.*) Wolne żarty, panie Galantowicz. W pańskiej winiarni daleko lepsze miody, bo są nawet litewskie i podolskie, a niektóre butle mają większą cenę, aniżeli stare wina węgierskie. Przepraszam, że wyjdę do kuchni, ale ja tu przyszłą panów Michalskiego i brata Wojciecha. Do nakrywania jeszcze czas, możecie panowie tu sobie gawędzić i popijać miodek. Do widzenia, żegnam pana (*odchodzi*).

Galantowicz. Do widzenia! Zabiła mi klin w głowę panna Tekla. To jeszcze niczego kobieta. Pewnie też lepsza z niej gospodyni, aniżeli Jolanta. Ale z dukatami niepewna rzecz, a Jolanta młoda i ładna (*wchodzą Kłosowski i Michalski*).

SCENA X.

Galantowicz, Kłosowski, Michalski, za chwilę Jolanta.

Kłosowski. Witam, witam, kochanego sąsiada. Zakrzewicz już mi rano orędownął, że pan Galantowicz zjawi się na pewne pod wieczór (*podają sobie ręce*).

Michalski (podając rękę). I ja witam szanownego obywatela, który nam życie uprzyjemnia, bo wszakżeż starzy Rzymianie mawiali: Vinum laetificat cor hominum*) tj. wino rozwesela serce ludzi, oczywista rzecz, że tylko dobre wino, bo liche i fałszowane sprawia boleść w żołądku do kroć set Krzyżaków.

Kłosowski. Nasz pan Galantowicz przechowuje w sklepach tylko dobre wino.

*) Czyta się: Winum laetificat cor hominum.

wiek nie siedzi w winie, a kupcy w Węgrzech nie zawsze są rzetelni.

Kłosowski. Wiecie co panowie, kropnijmy sobie po kubku miodu (*nalewa kubki*). Zdrowie moich szanownych gości (*pija*).

Michalski i Galantowicz. Dziękujemy.

Galantowicz. Miód wyborowy.

Kłosowski. Zaręczam, że to prawdziwy dębniak, a choć nie pochodzi od Lecha, który Gniezno założył, ale za to pamięta czasy naszego króla Kazimierza Jagiełłończyka, pod którego dowództwem wojował nasz pan Szymon Michalski. Dalej, panie Baltazarze, wypijmy na zdrowie dawnego żołnierza polskiego (*pija*).

Michalski. Za wiele honoru, panowie bracia.

Galantowicz. Dla nas to honor, że chociaż król jegomość za waleczność w boju mianował was szlachcicem, jednakże pan Michalski żyje brat za brat z nami mieszczanami.

Michalski. A czyśmy to nie jednej matki dzieci? Miłość kraju powinna nas łączyć, oraz zachęcać do ofiar i poświęcenia dla naszej Ojczyzny i dla naszych braci. Ja kocham także naszych poczciwych chłopów, którzy nas żywią ciężką swą pracą. Psubratem jest ten, kto inaczej działa do kroć set tysięcy Krzyżaków.

Kłosowski. Znać zaraz wojaka, co wojował z Krzyżakami, kiedy ich raz po raz wspomina.

Michalski. To moje przysłowie. Dawniej mówiłem: „do stu biesów czartowskich,” ale gdy mi ksiądz zwrócił uwagę, że takie przysłowie jest grzechem, zamieniłem biesów na Krzyżaków.

Kłosowski (nalewając kubki). Omne trium perfectum, to znaczy, że każda trójka jest dobra. Zapomniałem już prawie całą łacinę, której się uczyłem w naszej szkole katedralnej, ale ta trójka mi w głowie utkwiała. Dalej za kubki, panowie — niech żyje nasze kochane staro-

Michalski. Przypomina mi się piękny wiersz o Gnieźnie. Pozwólcie, że go wypowiem.

Kłosowski i Galantowicz. Prosimy.

Gniezno! gniazdo Lechitów, kiedy twoje wieże
Dalekiego pielgrzyna żrenica dostrzeże,
Serce bije gwałtownie, głowa mu się mroczy,
I łza niespodziewana zabiega mu oczy.
Gniezno, skąd rój w Piastowskim wychowany ulu,
Osiadł na nowej barci przy matce, przy królu,
A potem się rozleciał szeroko, daleko,
Siadł nie nad jedną górą, nie nad jedną rzeką;
Ale gdziekolwiek zlepił plastr miodu i wosku,
Z Gniezna błogosławieństwa prosił po synowsku.

Michalski. Coraz więcej ginie pamięć o tem, że nasze starosławne Gniezno było kiedyś stolicą królów polskich, nawet niejeden twierdzi, że Poznań był głównem miastem. Wszakżeż wsie naokół Gniezna przypominają, że to gród królewski. I tak Konikowo wzięło ztąd nazwę, że tu była stadnina królewska, tj. wyborowe rumaki. Szczytniki przywodzą na pamięć, że tu wyrabiano szczyty, zwane także pawężami i tarczami, które dawniej miały wielkie znaczenie.

Galantowicz. Ktoby to myślał, że Szczytniki miały taką sławę. Ale są Szczytniki królewskie i szlacheckie, w których zatem wyrabiano szczyty, przeznaczone dla ochrony żołnierzy.

Michalski. W Szczytnikach królewskich zapewne dla króla i jego otoczenia wyrabiano szczyty, a w szlacheckich dla szlachty.

Galantowicz. To też może Świniary i Świniarki, położone niedaleko Klecka, nazwano dlatego, że tam chowano wieprze dla króla i wojska.

Michalski. Słuszne to przypuszczenie, widać, że pan Galantowicz lubi szynki. Tak samo Owieczki i Welnica dostarczały królowi owiec i wełny. Do Turostowa*) jeździł król celem polowania na tury, a do Sokolnik odbywały się wyprawy ze sokołami.

*) Turostowo sprzedawała rodzina Urbanowich ławki.

Kłosowicz. To też zapewne w Oborze i Obórcie była królewska obora.

Michalski. Nie inaczej. W Piekarach chleb wypiekano dla dworu monarchy, a w Woźnikach kołodzieje trudnili się wyrabianiem wozów.

Galantowicz. A to mi się podoba. Patrzcie, jak to nasze Gniezno słyneło. (*Wchodzi Jolanta z półmiskiem pączków.*)

Jolanta. Dobry wieczór panom.

Galantowicz. Kłaniam się pannie Jolancie.

Michalski. Czołem panience! A to istna krew z mlekiem. Taki kwiatek i staremu się podoba.

Jolanta. Ciocia przysyła do miodu trochę pieczywa i prosi bardzo, aby skosztować. Żegnam panów, bo w kuchni wiele roboty. (*Odchodzi.*)

Kłosowski. Dalej panowie do pączków i chróścików.

Galantowicz (zajadając). A to coś delikatnego.

Michalski (także zajada). Istotnie, pączki aż się w ustach rozpływają. Już dawno nie jadłem takich smacznych rzeczy do stu Krzyżaków.

Kłosowski. Mój dziadek, co to miał 104 lata, kiedy zakończył życie, opowiadał mi, że Krzyżacy spalili i złupili Gniezno, ale nie pamiętam kiedy to było.

Michalski. Zaraz wam przypomnę. Było to za króla Władysława Łokietka, który pierwszy koronował się na króla polskiego w Krakowie, a nie w Gnieźnie.

Galantowicz. Kiedym był w Koronowie za Bydgoszczą, pokazywano mi górę, zwaną królewską. Na tej górze miał być ukoronowany Łokietek i dla tego nazwano to miasto Koronowem. Na wieży klasztornej z tego powodu osadzono królewską koronę.

Michalski. Byłem i ja w Koronowie do kroć set Krzyżaków, gdzie Wielkopolanie okrzyknęli królem Łokietka. Gdy przybył tam goniec z tą wieścią, wtedy zebrało się rycerstwo na pagórku, składając hołd nowemu królowi. Był to niejako wstęp do koronacyi, która nastąpiła dopiero 1321 roku w Krakowie.

Kłosowski. Miło to posłuchać o starych dziejach.

Lokietek z Gnieznem?

Kłosowski i Galantowicz. Nie wiemy.

Michalski. Przecież to wam wiadomo, że błogosławiona Jolanta żyła w Gnieźnie.

Galantowicz. Toć jeszcze jest cela, w której mieszkała święta księżna.

Kłosowski. A grób znajduje się w kościele franciszkańskim; dzieją się tam liczne cuda, moja babka, świeć Boże nad jej duszą, odzyskała tam zdrowie.

Michalski. Otóż z Jadwigą córką błogosławionej Jolanty i księcia Bolesława Pobożnego, ożenił się nasz Lokietek. Synem Lokietka i Jadwigi był Kazimierz Wielki, król polski, zatem błogosławiona Jolanta była babką tego króla, co to zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną.

Kłosowski. Mój Boże, Gniezno było stolicą królów polskich, a tak podupadło, że już prawie do wsi podobne i gdyby nie katedra i tych kilka kościołów, niktby nie pomyślał, że tu była kolebka i stolica naszego narodu.

Galantowicz. Pamiętam, że moja matka, daj jej niebo Panie, opowiadała nieraz, kiedym był chłopcem, że Święty Wojciech zaklął Gniezno, dlatego tak podupadło. Szedł Święty Biskup przez miasto w mitrze na głowie i z pastorałem w rękę, a niesforni chłopcy szydzili z niego i rzucali nań kamieniami, co tak oburzyło Świętego Wojciecha, że zaklął Gniezno.

Kłosowski. Czy to być może?

Michalski. Takich podań ludowych nie trzeba brać w dosłownem znaczeniu. Gniezno podupadło nietylko dlatego, że królowie polscy przenieśli stolicę do Krakowa, ale i dla tej przyczyny, że arcybiskupowie gnieźnieńscy rzadko tu przebywali, upodobawszy więcej sobie Żnin, a później Łowicz. Byłoby inne życie w Gnieźnie, gdyby tu mieszkał stale arcybiskup ze swym dworem do kroć set tysięcy Krzyżaków.

Galantowicz. Niezawodnie w takim razie i moje

Kłosowski. Wspomnieliście, panie Szymonie, że Władysław Łokietek był pierwszym naszym królem, który się koronował w Krakowie. Przyznam się, że jestem ciemny co do tego, którzy polscy królowie byli w Gnieźnie koronowani.

Michalski. Było ich sześciu do kroć set tysięcy Krzyżaków. Pierwszym był Bolesław Wielki czyli Chrobry, który 1024 r. uwieńczył swe czoło królewską koroną w naszej starożytnej katedrze.

Galantowicz. A ja myślałem zawsze, że Mieczysław, który zaprowadził w naszym kraju wiarę chrześcijańską, był pierwszym królem polskim.

Michalski. Starał się o to nasz Mieczysław, już nawet była w Rzymie wykonana korona dla niego, ale stało się inaczej, gdyż Ojciec Święty posłał tę koronę Węgrom. Po Bolesławie Wielkim był koronowany Mieczysław II., później Kazimierz Odnowiciel i Bolesław Śmiały. Przez 218 lat nie odbywała się koronacja królów polskich, dopiero 1295 r. Przemysław tu w Gnieźnie był ukoronowany.

Kłosowski. To ten król, którego zabili Brandeburczycy w Rogoźnie.

Michalski. Tak jest, a pod Gąsawą padł Leszek Biały, wielki książę krakowski, to znaczy prawie tyle co król polski. Ostatni raz widziało Gniezno koronację króla polskiego 1300 r., kiedy Wacław, król czeski, pojawiający za żonę córkę Przemysława, zasiadł na tronie polskim. (*Wchodzi Mieczysław Jaxa.*)

SCENA XI.

Ciż i Mieczysław.

Mieczysław. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Wszyscy. Na wieki wieków. Amen.

Kłosowski (na stronie). Ciekawym wiedzieć po co tu przyszedł ten gość nieproszony.

Kłowski. Niech pan Jaxa siada. Zapewne bardzo pilna sprawa go tu sprowadza.

Jaxa. Tak jest. Wracam z Trzemeszna. Otóż tam wczoraj stoczono zaciętą walkę z wilkami.

Galantowicz. Co z wilkami? O Święty Mikołaju, patronie od wilków, uproś dla nas u Boga bezpieczeństwo od tych szkodników. Mego stryja zagryzły wilki w lesie czerniejewskim.

Michalski. Niechże nam pan Jaxa zda bliższą sprawę o walce z wilkami, bo to nietylko ciekawa, ale i groźna rzecz do stu tysięcy Krzyżaków.

Mieczysław. W lasach trzemeszańskich zebrały się takie gromady wilków, że liczono je na tysiące. Starzy ludzie nie pamiętają, aby się tak dość wilków razem zebrało. Rozwścieklone bestye rzucają się nietylko na zwierzęta, ale i na ludzi.

Kłowski. Nie może być, a to straszna rzecz.

Mieczysław. Znaliście panowie obywatela Grzelasa z Trzemeszna?

Galantowicz. A jakże, ile razy przyjechał do Gniezna, wstępował do mojej winiarni.

Mieczysław. Grzela już nie żyje.

Galantowicz. Co mówisz, panie Jaxo?

Mieczysław. Grzela wyjechał z parobkiem po drzewo do klasztornego lasu. Przy wsi Miaty napadło go kilka wilków. Rzuciły się najprzód na konie. Byłby się może Grzela ocalił, gdyby był zaraz wziął nogi za pas, ale jemu było żal pięknych koni, zatem żgnął widłami pomiędzy wilki. Wtedy rozjuszony bestye rzuciły się na Grzelasa, a tak go oporządziły, że zostały tylko nogi w butach.

Galantowicz. Chryste Panie! a to dopiero śmierć okropna. Ciarki mnie przechodzą, bo mi się zawsze mój biedny stryj przypomina.

Mieczysław. Gdy doszła wieść do Trzemeszna, że wilki pożerają ludzi w Miatach, Zieliniu, Wymysłowie, a nawet tuż pod miastem, wtedy ksiądz opat kazał zgromadzić obywateli z miasta i chłopów z okolicy, aby

uzbrojonych w pałki, piki, kosy, dragi, szable i co tam było pod rękę. Wilki już szły do Trzemeszna. Przy folwarku Brzozówcu stoczono zaciętą walkę. Zgłodniałe wilki z wściekłością napadły ludzi, choć mieli broń w rękę. Nazabijano tyle wilków, że całe ich stosy leżą na polu, jednakże zginęło także kilku chłopów i obywateli, a kilkunastu odniosło ciężkie rany. W końcu wilki się cofnęły.

Michalski. A w którą stronę poszły do kroć set Krzyżaków?

Mieczysław. Niestety! ku Gnieznu. Spotkałem całą gromadę przy Jankowie i gdyby nie dzielne konie, które pędziły z saniami, niby błyskawica, nie byłoby mnie panowie ujrzeli, gdyż byłby mnie spotkał niezawodnie los Grzelasa.

Kłosowski. Do Gniezna wilki nie przyjdą.

Galantowicz. Ja tak samo myślę, mamy przecież wały, fosy i bramy.

Michalski. Widać, że nie znacie wcale wojennego rzemiosła do kroć set Krzyżaków. Gniezno jest tak słabo obwarowane, że lada wilk przesadzi fosy i okopy, a bramy tak popsute, że się przecież na noc wcale nie zamykają.

Galantowicz. To źle, panie dobrodzieju!

Kłosowski. Bardzo źle, a to prawdziwa plaga egipska z temi wilczyskami.

Mieczysław. Mnie się zdaje, że wilki wpadną do Gniezna choćby dlatego, że nad winiarskiem jeziorem leży dużo padłych koni i bydła, które podczas bydlęcej zarazy tam składano.

Michalski. I ja tak sędzę do kroć set Krzyżaków (w tej chwili słysząc przeraźliwe wycie wilków *au, au, a z kuchni dochodzi głos Kaśki*): Ty paskudny psie kudłaty, pójdiesz ty sobie, dam ja ci miotłą.

Mieczysław. Pewnie to wilk w kuchni (słysząc szamotanie i głos Zakrzewiaka: *Poczekaj wilku, a ty*

Ciż, Kaśka i Zakrzewiak.

Kaśka. O laboga, laboga, wilk był w kuchni i pożarł wszystkie zrazy na misce, bo miski bestya nie żdżarła. Co to będzie, co to będzie? Już po wieczerzy, bo zrazów nie ma (*wpada Zakrzewiak z siekierą*).

Zakrzewiak. Uśmierciłem bestyą, jak mi Bóg miły. Tak na ten przykład jestem sobie w kuchni i obgryzam kawał kości, który mi dała Kaśka tu oto stojąca, a wtem wpada wilczysko. Kaśka myślała, że to pies, boć to na ten przykład wilk do psa bardzo podobny.

Michalski. Do kroć set tysięcy milionów Krzyżaków mów o rzeczy głównej, to jest o wilku co wpadł do kuchni.

Zakrzewiak. Zaraz, zaraz. Tak na ten przykład ogromny wilk wpadł przez drzwi, bo były jeno przymknięte, a jak ślepiami błysnął, to aż się zaświeciło w kuchni, poczem zaraz poleciał do zrazów. Kaśka krzyczy i bije miotłą, a tu widzę, że leży siekiera, wtedy niewiele myślący tak dla przykładu, jak chwycę za siekierę i grzmotnę pana wilka w plecy, tak pękły mu krzyże, wilk zawył z bólu i chce się rzucić na mnie, ale nie może. Tak doskakuje rąbię kilka razy po łbie i już po wilku.

Mieczysław. Ale gdzież jest panna Jolanta i panna Tekla?

Galantowicz. Tak, zapomnieliśmy o nich.

Kłosowski. Jolanta! — moja córka najdroższa, miałyby stać się łupem wilków! Gadaż Kaśka, co się dzieje z moją córką?

Kaśka. A toć powiem, choć się trzęsę cała od strachu. Panna Jolanta poszła z starszą panią po panny Cabańskie i po panią Jankowską, co to jeno przez ulicę mieszkają. Ledwie że weszły do domku pani Jankowskiej, aż tu, mocny Boże, rozległo się wycie i chmara psów dużych a srogich wpadła na ulicę. Ja myślałam, że to psy, a to były wilki.

Kłosowski. Co tu począć, co tu począć? Jak tu ocalić Jolantę?

Mieczysław. Wyrzekanie nic nie pomoże, trzeba działać i to szybko. Nie ma innej rady tylko się udać do domku pani Jankowskiej, aby ocalić pannę Jolantę i pannę Teklę.

Galantowicz. Ależ to śmierć pewna, wilki każdego zagryzą, kto się pokaże na ulicy.

Michalski. Widać, że waść tchórzem podszyty do kroć set Krzyżaków.

Mieczysław. Panie Kłosowski, przynieś tu broń wszelką, jaką posiadasz. (*Kłosowski wychodzi do drugiego pokoju.*)

Michalski. Podobasz mi się, panie Jaxo, byłby z ciebie dzielny żołnierz.

Mieczysław. Tu chodzi o pannę Jolantę.

Michalski. Rozumiem, rozumiem, niech ci Bóg błogosławi (*wchodzi Kłosowski z bronią*).

Kłosowski. Oto halabarda, dwie szablce, topór i stara rusznica, ale z niej strzelać nie można, bo zepsuta.

Mieczysław. Ja biorę topór (*chwytą za topór i wywija, Galantowicz ze strachem się cofa*).

Galantowicz. Nie tak mocno i blisko, bo może łatwo być nieszczęście.

Michalski. Ja chwytam za halabardę.

Mieczysław. Pan Galantowicz niech bierze szablę.

Galantowicz. Uchowaj Boże, ja człowiek spokojny, nie mogę patrzeć na krew się lejącą...

Kłosowski. Wezmę szablę i pójdę na ratunek kochanej córki (*chwytą za szablę*).

Michalski (*do Zakrzewiaka i Kaśki*). A co tu stoicie, marsz do kuchni, bo tam mogą wpaść wilcy. (*Zakrzewiak i Kaśka wychodzą.*)

Mieczysław (*podnosząc w górę topór*). A teraz dalej w imię Boże na pomoc pannie Jolancie i pannie Tekli (*z kuchni głos Kaśki:*) O najśłodszy Jezu, znowu wilk się tłoczy, panie Zakrzewiak nie wpuść go do kuchni.

Głos Zakrzewiaka. Już ja go poskromię (*wszyscy Galantowicz*).

Galantowicz. Niech sobie idą choćby na złamanie karku. Kto szuka guza, znajdzie guz. A czy ja głupi na stare lata borykać się z wilkami? Tylko, żeby te szelmy wilki nie dostały się do mych sklepów, bo gotowe wypić wszystek miód i wino. Wszakżeż pomiędzy wilkami znajdują się też wilkołaki, niby to ludzie zamienieni w wilków, a te wilkołaki piją chętnie wino. Trzeba spojrzeć na ulicę, 'co się tam dzieje? Sprawiedliwie, że Michalski dźwiga jakąś omdlałą kobietę. Może to Jolanta. Złożył ją w kuchni i znowu wraca (*puka się w czoło*). Wyborna myśl. Pójdę do kuchni i przyniosę tu Jolantę, ona będzie myślała, że to ja ją ocaliłem, a więc z wdzięczności mnie pokocha i będzie moją żoną. A więc dalej do dzieła (*wybiega*).

SCENA XIV.

Kaśka, później Galantowicz i Tekla.

Kaśka. Strach pomyśleć, co się dzieje. Czyż ja myślałam, że ten niezdarny Zakrzewiak zabije wilka? A jednak zabił. Teraz miałabym być jego żoną? Kto wie, może to zrządzenie Boże. Zakrzewiak nie jest bardzo brzydki, a widać że chłop odważny, kiedy się nie zląkł wilka. Ale czy mnie będzie chciał, boć mu wyrznęłam dziś porządną kapitulę (*wchodzi Galantowicz, prowadząc Teklę z zastoną na twarzy*).

Galantowicz (*sadzając Teklę na krześle, klęka i mówi:*) Najdroższa pani, to ja Baltazar Galantowicz, co cię ocaliłem z paszczęki wilków drapieżnych, a teraz spodziewam się nagrodę, że mi oddasz swą rączkę.

Tekla (*odstaniając rąbek*). Gdzież jestem? Co się stało? Ach, to ty, panie Baltazarze, ty mnie ocaliłeś od śmierci, ach! wdzięczną ci będę na zawsze.

Galantowicz wstaje (*na stronie*). A to dopiero awantura! To nie Jolanta, co ja pocznę?

Tekla (*do siebie*). Teraz albo nigdy, on musi być moim (*głośno*). Zbliź się kochany Baltazarze. Tak ładnie klęczałeś. Pierwszy to mężczyzna, co klęczał przede mną.

Nie lękaj się, kochany Baltazarku, ja cię kochałam i kochać będę.

Galantowicz (na stronie). Pal sześć — cóż zrobić, bierz Michale co Bóg daje, a może są dukaty (*głośno*). Panno Teklo, bardzo mi przyjemnie, że mogłem się trochę przysłużyć. Ja zawsze czułem przywiązanie do panny Tekli (*całuje ją w rękę*).

Tekla. Co tam panna Tekla, mów mi po prostu: Teklusi.

Galantowicz (klękając). Teklusi (*słychać gwar za sceną, wchodzi najprzód Mieczysław z Jolantą pod rękę, potem inni*).

SCENA XV.

Galantowicz, Tekla, Jaxa, Jolanta, Kłosowski, Michalski, Kaśka, Zakrzewiak.

Michalski. Patrzajcie co się tu dzieje? Pan Galantowicz, galant jak zawsze, umizga się do panny Tekli. Zapewne się oświadczył.

Zakrzewiak. Widzisz Kaśka, że nawet pan Galantowicz myśli na prawdę o żeniaczce, tak niby dla dobrego przykładu.

Michalski. Była to przeprawa, oj była, ależ pan Jaxa cudów męztwa dokazywał. Gdzie rąbnął toporem, wilk padał trupem, a czasem nawet dwa do kroć set Krzyżaków.

Mieczysław. Dla panny Jolanty chętnie poświęciłbym życie. Cieszy mnie, że tą małą przysługą mogłem okazać, jak ją wysoko uwielbiam.

Jolanta (podając mu rękę). Panie Mieczysławie, składam ci najserdeczniejsze podziękowanie za ocalenie życia. Wdzięczność zachowam na zawsze.

Kłosowski. Dziękuję ci dzielny młodzieńcze, że z narażeniem życia ocaliłeś mą córkę od niechybnej śmierci.

Tekla. Poczuję się i ja do wdzięczności względem pana Galantowicza. Przyjm podziękowanie, kochany Baltazarze, że mnie wyratowałeś z niebezpieczeństwa, które groziło mi utratą życia.

drobnostka, nie ma o czym mówić, prawdziwie że mnie spotyka niezasłużone podziękowanie.

Michalski. Jak to — do kroć set tysięcy Krzyżaków, to ten tchórz miałby wyratować pannę Teklę?

Tekla. A któżby inny?

Mieczysław. Widziałem na własne oczy, że pan Michalski przeniósł pannę Teklę pomiędzy wilkami, a nie pan Galantowicz.

Tekla. Prawdaż to, kochany Baltazarku? Będąc w omdleniu, nic nie pamiętam.

Kłosowski. Patrzcie i słuchajcie, oni już sobie tykają.

Galantowicz. To jest niby właściwie ... ten tego... pannę Teklę z kuchni tu przyniosłem, ale przez szparę w drzwiach widziałem wilki, oj widziałem, jeszcze mi skóra drży.

Michalski. Spuśćmy zasłonę na mężstwo czy też tchórzostwo pana Galantowicza do kroć set tysięcy Krzyżaków. Niech tylko panna Tekla będzie zadowoloną i szczęśliwą w małżeństwie, jakie zapewne dojdzie do skutku (*po cichu do Galantowicza*) dukatów jest spory mieszek (*głośno*) to o resztę fracha.

Zakrzewiak. Proszę tak na ten przykład, niby ja i Kaśka...

Kłosowski. Powiedz mi, jak to było z tym drugim wilkiem.

Kaśka. Ja opowiem, gdyż patrzałam na to własnymi oczyma. Otóż ten drugi wilk tłoczył się przez drzwi, ale nie mógł się zaraz wygramolić, bo był za gruby. Wtedy Zakrzewiak dopadł prędko do drzwi, a jak zaczął przec z całej siły, wilkowi aż zebra trzeszczały, a wył okropnie z bólu. Podałam siekiere Zakrzewiakowi, jak huknął wilka w ślepie, to aż mózg prysnął. Był jeszcze w sieni drugi wilk. Ten widząc co się dzieje, wybiegł prędko na ulicę i zaczął coś szeptać innym wilkom w uszy, wtedy wilki zawyły i zaczęły uciekać, aż się za nimi kurzyło. Niech się państwo nie śmieją, bo to szczerą prawdą. Były to niezawodnie wilkolaki, które mają rozum.

Zakrzewiak. Tak ja na ten przykład, jeżeliby to nie było z urazą państwa, chciałbym, aby Kaśka była moją żoną, bo walna z niej dziewczyna, a przyrzekła mi, jeżeli zabiję wilka, zgodzi się na ślub ze mną.

Kaśka. Sprawiedliwie przyrzekłam.

Michalski. Poczekajcie trochę, bo trzeba wprzód inną sprawę załatwić. Panie Kłosowski, myślę, że mi nie weźmiesz za złe, że jako swat wystąpię. Otóż proszę o rękę Jolanty dla pana Jaxy. Mniejsza o to, że jego przodkowie byli już głośni na dworze Bolesława Wielkiego. Mieczysław Jaxa ocalił Jolantę od strasznej śmierci, jest przytem porządnym człowiekiem, a cech garncarski mianował go wczoraj mistrzem, przeto ma przyszłość zabezpieczoną.

Kłosowski. Zgadzam się i chętnie oddaję moją córkę panu Mieczysławowi. Niech wam Bóg błogosławi!

Michalski. Pytanie tylko, czy pauna Jolanta spełni życzenie pana Mieczysława?

Kaśka. O to nie ma kłopotu, panienska kocha pana Mieczysława.

Zakrzewiak. Nie wtrącaj się Kaśka tak na ten przykład w nieswoje rzeczy, nie kładź palca między drzwi, bo ci go przyskrzynią.

Jolanta. Jestem posłuszną życzeniu ojca, a mam nadzieję, że i ciocia pozwoli.

Tekla. Owszem, owszem, pozwalam z duszy i serca.

Michalski. Wiadomo, że mam dość obszerny dworek z pięknym ogrodem na Grzybowie. Otóż oddaję go na własność pannie Jolancie i Mieczysławowi.

Jolanta. Dziękuję panu Michalskiemu za tę nieocenioną dobroć.

Mieczysław. Niech Bóg zapłaci kochanemu panu za ten dar wspaniały.

Michalski. Trzeba też coś postanowić o losie Zakrzewiaka i Kaśki. Mam na Piekarach kawał gruntu z chałupką. To wam daruję skoro się pobierzecie.

Kaśka. Niech Bóg da niebo wielmożnemu panu.

Zakrzewiak. Z wielkiego wzruszenia, nie wiem jak mam podziękować. Ale czy mi będzie wolno dzwonić w Wojciecha?

Michalski. Kasia zapewne na to pozwoli.

Kaśka. Toć już pozwolę.

Tekla. Ależ największy czas myśleć o wieczerzy, bo pewnie i głód państwu dokucza. Jakżeż ty, Kaśko, mogłaś pozwolić, że wilk zrazy pozjadał?

Kaśka. Kiedy wilk nie pytał o pozwolenie, a jakem go ściągnęła miotłą, już było po zrazach. Ale pieczeń cała.

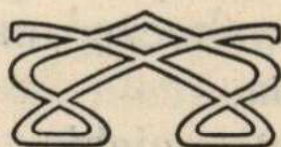
Kłosowski. Poradźmy sobie jakoś. Będą zatem trzy weseliska i to razem się odbędą.

Michalski. Zgoda na to. Pierwszy to pewnie raz i jedyny, że wilki skojarzyły trzy małżeństwa do kroć set Krzyżaków.

Mieczysław. Wilki trzemeszeńskie przyszły do Gniezna, niech zatem żyją trzemeszeńsko-gnieźnieńskie wilki!

Wszyscy. Niech żyją!

Zapisano w kronice, że istotnie 1502 r. wpadły wilki do Gniezna, które już było wówczas więcej do wsi podobne, aniżeli do miasta. Zagryzły kilkunastu ludzi, a potem udały się w czernejewskie bory. Około 1880 r. jedno z pism poznańskich doniosło, że wilki zagryzły w Miatach Grelusa, obywatela z Trzemeszna. Okazało się, że to była nieprawda, ale wiadomość ta sprawiła w Trzemesznie i w Środzie wielkie wrażenie. Dwa te zdarzenia dały wątek do igry: „Wilki w Gnieźnie“, która obok rozrywki ma na celu przypomnienie, że Gniezno było kolebką i pierwszą stolicą naszego narodu, o czym się pamięć zaciera. Już większa część mieszkańców Lechowego grodu nie wie, że w Gnieźnie koronowano pierwszych królów polskich i że tu najprzód zajaśniało światło wiary chrześcijańskiej.



Mędrsze jaje, niż kura.

Dyalog w jednym akcie.

OSOBY:

Pan Ambrożyński, właściciel folwarku. — Julia, jego żona.

Edward, ich syn. — Helenka, ich córka.

Rzecz dzieje się w mieszkaniu Ambrożyńskich.

SCENA I.

Ambrożyński, Julia.

Ambrożyński. Ciężkie czasy, ciężkie czasy, zboże nie płaci, a podatki coraz większe. Rząd żąda znowu na wojsko kilkadziesiąt milionów marek więcej. Zkąd tu brać?

Julia. Co tam będziesz sobie nabijał głowę kłopotami. Dziś ma przyjechać Edzio ze szkół, zatem powinna w naszym domu panować wesołość. Już podobno skończył szkoły.

Ambrożyński. Skończyć szkoły — to znaczy: złożyć popis dojrzałości. Nasz Edward doszedł tylko z wielką biedą do sekundy, aby mógł odbyć jednoroczną służbę wojskową.

Julia. Na co Edziowi popis dojrzałości? Księdzem, profesorem, prawnikiem lub wogóle uczonym człowiekiem nie będzie, zatem skoro uzyskał prawo jednorocznej służby, niech da pokój naukom.

Ambrożyński. Głupstwo zrobiłem, że ulegając twoim prośbom, dałem chłopaka na stancję do dyrektora. Prywatne lekcye dawali mu profesorowie po 3 marki za godzinę. Tylko w taki sposób udało go się przepchnąć do sekundy. Kosztowało to około 1000 marek. Niechby lepiej służył w wojsku trzy lata, gdyż przyznam się, że ledwie ze skóry nie wyskoczę, na myśl, co jednoroczna służba będzie kosztowała.

Julia. Nie pojmuje ciebie, mój mężu. Nasz syn miałby służyć w wojsku, jako prosty żołnierz?

Ambrożyński. Czy to co nadzwyczajnego? Nasz sławny Stefan Czarniecki, rozpoczął zawód wojskowy od szeregowca, a takim był dzielnym wodzem, że się zalicza do pierwszych bohaterów Polski. Prawie wszyscy marszałkowie Napoleona służyli najprzód jako zwyczajni żołnierze, a niektórzy z nich nawet zasiedli na tronie.

Julia. To było dawniej, ale nie dziś. Coby świat powiedział, że dziecko obywatelskie ma trzy lata służyć we wojsku? Pamiętaj, że w moich żyłach płynie krew senatorska. A zresztą tak jeszcze źle nie stoimy majątkowo, abyśmy nie mieli się zdobyć na poniesienie kosztów jednorocznej służby wojskowej dla Edzia.

Ambrożyński. Moja kochana Julio, pomówmy rozsądnie. Mamy czworo dzieci, a dajemy im takie wycho-
wanie, jakoby z nich każde odziedziczyło wioskę. Nasz majątek, gdybyśmy go sprzedali i zapłacili długi, przedstawia kapitał 60,000 marek. Wypada zatem na jedno dziecko 15,000 marek. Jednakże wszystkiego dzieciom dać nie możemy, gdyż trzeba sobie zostawić fundusz na stare lata. A co się stanie, jeżeli przyjdą nieprzewidziane klęski, nieurodzaje itd.? Więcej naszym dzieciom dać nie możemy jak po 10,000 marek. Edward jak odbierze tę kwotę, w rok ją przepuści.

Julia. Nie chce mi się wierzyć, ażeby nasze położenie majątkowe było tak liche. Zresztą stósunki rolnicze mogą się polepszyć.

Ambrożyński. Na to nie liczymy. Co teraz począć z Edwardem? Będzie siedział w domu i baki zbijał. Gdyby skończył gimnazyum, mógłby być sędzią, księdzem, lekarzem — a teraz o czemś podobnem nie może myśleć.

Julia. Popsuleś mi radość. Tak się cieszyłam, że zobaczę kochanego Edzia, a ty mi stawiasz takie smutne widoki na przyszłość.

Ambrożyński. Lepiej zawczasu obmyśleć środki i ograniczyć się w wydatkach. Przeciesz wiesz, co się dzieje. Dawniej w naszym powiecie było tylko pięciu posiedzicieli narodowości niemieckiej a 30 polskich, dziś jest 30 Niemców a tylko pięciu Polaków. Położenie jest groźne.

Julia. O Boże, Boże!

Ambrożyński. Można się jeszcze ocalić, ale główna rzecz, aby zaprowadzić jak największą oszczędność w wydatkach. Do tego także należy, aby dać dzieciom nie kosztowne, ale praktyczne wychowanie. Pomyśl, co się stanie z nami, jeżeli nam folwark sprzedadzą, albo jeżeli go będzie trzeba koniecznie sprzedać? Będzie płacz i zgrzytanie zębów.

Julia. Co zatem zamyślasz zrobić?

Ambrożyński. Pod żadnym warunkiem nie pozwolę, aby Edward obrał sobie zawód rolniczy. Najchętniej życzyłbym sobie, aby był kupcem lub przemysłowcem. Za 10,000 marek można założyć handel lub jakie przedsiębiorstwo przemysłowe, ale niech Bóg broni z małym kapitałem kupować ziemski majątek.

Julia. Edzio przystojny może się bogato ożenić.

Ambrożyński. Tylko nie licz na coś podobnego, a potem chociażby się ożenił bogato, może majątek stracić, jak oto Golecki w Wielkich Toporkach. Jego żona miała śliczną wieś, nieobdłużoną, a ów utracysz przepuścił ją w kilku latach. Widzę, że idzie tu włódarz; pójdę do niego, może mi chce zwiastować jaką wieść niepomyślną, gdyż gospodarstwo — kłopotarstwo. (*Odchodzi.*)

SCENA II.

Julia. Dowiedziałam się ślicznych rzeczy. Przepadnie podróż do wód. Edzio pisał mi, że zrobił 100 marek długów. Co to będzie, jak się o tem mąż dowie? Na co ten chłopiec wydał tyle pieniędzy? Trzeba będzie resztę dzieci lepiej wychować. (*Wchodzi Helenka.*)

Helenka. Dzień dobry, mamie.

Julia. Dzień dobry. Coś dziś robiła, Helciu?

Helenka. Uczylałam się całe rano francuskich wokalów, może mnie mama przesłucha?

Julia. W tej chwili nie mam czasu. Słuchaj, Helenko, tyś już duża dziewczynka, a jeszcze nie umiesz zrobić pończoszki.

Helenka. Chętniebym robiła, gdybym umiała. Nikt mi nie pokazał jak się robi pończoszkę.

Julia (na stronie). Ma słuszość. Jakże ja mam uczyć, kiedy sama nie umiem. (*Głośno.*) Chciałabyś się więc nauczyć?

Helenka. Owszem, bardzo proszę.

Julia. Dobrze, postaram się.

Helenka (całuje ją w rękę). Dziękuję kochanej mamie.

Julia. Dziś przyjedzie Edzio. Pewnie się bardzo cieszysz.

Helenka. Niebardzo.

Julia. A to czemu?

Helenka. Edzio nie chce się ze mną i z Bolesiem bawić, przezywa nas, a nieraz nawet wybije.

Julia (na stronie). A to się dowiaduję ładnych rzeczy o Edziu. Może mąż ma trochę słuszości. (*Głośno.*) Widzisz, moje dziecko, Edzio jest starszy, zatem go trzeba słuchać.

Helenka. Ale niech nas nie bije.

Julia. Jakby cię jeszcze raz chciał uderzyć, w tej chwili mi powiedz, a zaradzę temu. Pójdź teraz ze mną do spiżarni, pomożesz mi przy rąbaniu cukru. (*Wychodzą.*)

SCENA III.

Edward, później Julia.

Otóż przybyłem do domu, ale przyznam się, że mam wielką obawę. Zaświadczenie liche jak pies, nawet co prawda nie dali mi prawa do jednorocznej służby wojskowej. Potem 100 marek długu. Mama dawała pokryjomu pieniądze, a więc wyprawiało się biby, koledzy pili, a teraz trzeba myśleć o płaceniu. Żle. Liczę na mamę, która mnie bardzo kocha, że mnie zasłoni przed gniewem ojca. O długu chwilowo nie wspomnę. Piło się szampana, oj piło. A karty? Co prawda woląłem grać w karty, aniżeli się uczyć. Siedziałem po dwa lata w jednej klasie. Niektórzy z moich kolegów już ukończyli gimnazyum. Co tam — oni chudeusze, a ja bogaty. Otóż idzie mama. Witam najukochańszą mamę, cieszę się niezmiernie, że widzę znowu kochaną mamusię. (*Całuje w rękę.*)

Julia. Witaj mi Edzio najdroższy. Jesteś zdrów, a możesz głodny? Obiad będzie dopiero za godzinę.

Edward. Dziękuję kochanej mamie. Chyba wypilbym kieliszek wódki i wypaliłbym papierosa.

Julia. Nie miałabym nic przeciwko temu, ale ojciec bardzoby się gniewał, gdyby zobaczył. Ojciec i tak na ciebie nie łaskawy, że nie czynisz dobrych postępów w naukach.

Edward. Ojciec ma wsteczne pojęcia. Po co się mam uczyć, kiedy jest ogromny majątek?

Julia. Na majątek nie licz, bo jest nas przecież pięcioro, a potem rolnictwo wcale nie dopisuje. Ojciec mówi, że trzeba cię będzie oddać do kupiectwa.

Edward. Mamo, ja kupcem? Syn szlachecki miałby mierzyć łokciem, lub ważyć karmelki, to rzecz śmieszna.

Julia. Żebyś tylko był takim kupcem jak Silberstein, który dawniej chodził po wsiach z mieszkiem, a dziś posiada trzy kamienice i wielki handel. Liczą go na pół miliona marek, a ojciec mówi, że nasz majątek najwyżej 60,000 marek ma wartości.

Edward. To źle, bardzo źle. Myślałem, że pójdę gdzie na rok lub dwa w naukę rolnictwa, a potem kupi mi ojciec wieś.

Julia. Wsie z nieba nie kapią. Przecież wiesz, że majątki polskie nikną coraz więcej.

SCENA IV.

Ciż, Ambrożynski, Helenka.

Edward. Witam kochanego papę. *(Całuje go w rękę.)*

Ambrożynski. Jak się miewasz, czyś zdrow?

Edward. Nie mogę się skarżyć.

Helenka. Witam cię, kochany braciszku.

Edward. Witam cię, witam. Helcia znacznie urosła.

Julia. Edzio ukończył nauki, jak mówi świetnie.

Edward. Tak jest, uzbierałem sobie zapas wiadomości. Po łacinie np. umiem mówić. Deus est aeternus; pater est bonus; mater est bona; filius erat in schola.

Julia. Zatem umiesz zupełnie dobrze mówić po łacinie.

Ambrożynski. Są to zdania łacińskie, które każdy

ojciec jest dobry, matka jest dobra, syn był w szkole. Teraz ja się zapytam po łacinie, a ty mi odpowiesz.

Edward. Będzie źle.

Ambrożyński. Daj mi, qui regnavit in Polonia post mortem regis Casimiri Magni?

Edward. Ojciec się coś pyta? Ale nie mogę dać odpowiedzi, bo nie rozumiem wszystkiego. Wiem, że tam jest coś o Polsce.

Ambrożyński. Ty nic nie rozumiesz. Pleciesz zdania jak papuga i myślisz, że to mądrość.

Julia. Edziowi łacina nie będzie potrzebna. W innych naukach jest niezawodnie biegłym.

Ambrożyński. Powiedz mi, kto wstąpił na tron po Władysławie Łokietku? Jest to bardzo łatwe pytanie.

Edward. Proszę kochanego ojca, myśmy się w klasie nie uczyli historii polskiej.

Ambrożyński. Helenko, daj odpowiedź na to pytanie.

Helenka. Po Władysławie Łokietku panował Kazimierz Wielki.

Ambrożyński. Widzisz, mała Helenka cię zawstydzą. Jako Polak powinienes być sam się uczyć historii polskiej. Ciekawym wiedzieć, kto ma znać historię polską, jeżeli nawet ci się nie poczuwają do tego, którzy mają pretensję do wykształcenia.

Julia. Edzio będzie się teraz w domu uczył historii polskiej.

Ambrożyński. Nie bardzo temu wierzę. Powiedz mi Edwardzie, jak się nazywał w starożytności założyciel państwa perskiego?

Edward. Perskiego? Perskiego? Zaraz, trzeba sobie przypomnieć. To był król Alexander, a może...

Ambrożyński. Źleś powiedział. Cyrus założył państwo perskie, a zburzył je Alexander.

Edward. A tak Cyrus — teraz mi się przypomniało. Niech ojciec nie myśli, że ja nic nie umiem. Uczyłem się logiki.

Ambrożyński. I cóż wiesz z logiki?

Edward. Oto z tych czterech jabłek umiem zro-

Julia. Rzeczywiście to umiesz, Edziu.

Helenka. Bardzo ciekawam to widzieć.

Edward. Mamy oto cztery jabłka. Gdzie jest liczba 4, jest też liczba 3, a że 4 i 3 czyni 7, przeto mamy tu nie 4, ale 7 jabłek.

Julia. Przyznać trzeba, że się Edward dobrze wywiązał z zadania.

Ambrożyński. Zobaczymy. Z tych czterech jabłek daję trzy Helence i sobie biorę jedno, a ty weź owe trzy pozostałe. Wiesz co, mój synu, są to psie figle, ale nie nauka. Lecz co się będziemy długo rozwodzili, najlepiej pokaż zaświadczenie szkolne.

Edward. Co tam zaświadczenie — profesorowie osły popisali głupstwa.

Helenka. Jakże ty, Edziu możesz być mądrym, kiedy cię osły uczyły.

Ambrożyński. Widzisz, młodziku niedojrzały, że cię to dziecko drugi raz zawstydziło. Jeżeli istotnie twoi nauczyciele są głupi, toś i ty głupi, bo głupiec nie zdoła niczego nauczyć.

Julia. Pokaż ojcu świadectwo.

Edward. Oto jest moje zaświadczenie.

Ambrożyński (czyta). Takie liche, że już gorsze być nie może. Stoi tu nawet, że masz jeszcze raz składać egzamin, jeżeli chcesz uzyskać pozwolenie jednorocznej służby.

Julia. Czy to prawda, Edziu?

Edward. Profesorowie byli źli na mnie, więc się zemścili.

Julia. Okłamałeś mnie, Edziu, tyle razy, że ci już nie wierzę.

Ambrożyński. Do nieuctwa dodajesz kłamstwo. Znam twoje sprawy. Nadesłano mi list, że twoje długi wynoszą 100 marek. Jesteś nieuk, hulaka, marnotrawca, próżniak, a teraz chcesz się wykręcić sianem. Już nie pójdziesz więcej do szkół, a nic nie szkodzi, że będziesz służył dwa lata w wojsku. Kto nie chce słuchać ojca, matki, niech słucha psiej skóry. Tak to bywa, jeżeli jaje chce być mędrzem od kury.

(Zastępa spada.)



BIBLIOTEKA
Polskiego Związku Łowieckiego

Nr **2308**